

uniwersytetu jest trudne, czasem wręcz niemożliwe. W Stanach Zjednoczonych także nie jest to łatwe, bowiem wymaga dużych nakładów finansowych i sprostanienia wielu wymogom formalnym, niemniej jednak co roku pojawiają się nowe uniwersytety i uczelnie. Nieco ponad jedenaście lat temu, w roku 2006, zostałem zatrudniony jako wykładowca i dyrektor do spraw rekrutacji w takiej właśnie nowej szkole, Wyoming Catholic College. Uczelnia miała zacząć działalność w sierpniu 2007 roku. Gdy miesiąc wcześniej wydane zostało *Summorum Pontificum*, założyciele szkoły od razu zrozumieli, że tradycyjna Msza w języku łacińskim powinna znaleźć w niej swoje miejsce. W pierwszym roku funkcjonowania uczelni odprawiana była Msza cicha w środy, ale w kolejnym dodaliśmy już Mszę śpiewaną w niedziele. Kilka lat później w odpowiedzi na zainteresowanie studentów dodaliśmy jeszcze jedną Mszę cichą w tygodniu. Z roku na rok zwiększała się liczba studentów i wykładowców uczęszczających na te Msze, a obecnie chodzi na nie więcej osób niż na pozostałe. Jest to, moim zdaniem, dowód na to, że Papież Benedykt XVI miał rację, pisząc 7 lipca 2007 roku w liście do biskupów: „W międzyczasie jednak okazało się z całą oczywistością, że młodsze pokolenie też może odkryć tę formę liturgiczną, poczuć jej piękno i odnaleźć w niej ten sposób spotkania z Tajemnicą Najświętszej Eucharystii, który byłby najlepiej do niego dopasowany”.

Obecnie na uczelni co tydzień odprawiana jest Msza święta śpiewana i słu-

ży do niej pokaźna grupa ministrantów. W tygodniu są dwie Msze mówione, a studenci pomagają sobie wzajemnie w transporcie, by dojeżdżać do kościoła na czas. Działają dwie prężne scholae cantorum, jedna męska, druga żeńska, w których młodzi ludzie doskonałą śpiew gregoriański. Uroczystym Mszom świętym towarzyszy śpiew polifoniczny w wykonaniu czterdzieściorga studentów. Kapelani uczelni siłą rzeczy uznają za właściwe znać oba rytmy mszalne, zarówno stary, jak i nowy. Co więcej, zgodnie z tym, na co liczył Papież Benedykt XVI, forma nadzwyczajna wpływa na sposób, w jaki odprawiana jest forma zwyczajna (np. celebracja *ad orientem*). Zdarza się często, że rodzice czy kandydaci na studia pytają, czy na uczelni odprawiana jest Msza święta w starszej formie, bowiem są do tego rytu przywiązani i chcieliby mieć możliwość uczestnictwa w takiej Mszy podczas studiów.

Wszystko to, moim zdaniem, zawdzięczamy przede wszystkim *Summorum Pontificum*. ■

*Tłum. Natalia Łajszczyk*

## **Justyna Melonowska**

*Stanisławowi Wilczyńskiemu  
– mojemu nauczycielowi łaciny,  
oraz całej wspólnocie urszulańskiej  
dedykuję*

Komentując przemiany liturgii w XX wieku, należy się zmierzyć z problemem konieczności wypracowania takiego sposobu dyskusji tych kwestii, który nie byłby

formą dewaluacji *Novus Ordo*. Nie jest to łatwe. Ryt zwyczajny sam może być postrzegany jako umniejszenie, a nawet dewastacja Mszy świętej. Przez wielu komentatorów materii liturgicznej tak właśnie jest traktowany, a zatem i komentowany bez zbędnej delikatności. Być może w kwestii tak ważnej postawa niezmiękczonej stanowczości jest rzeczywiście najbardziej uczciwą i stosowną odpowiedzią. Jest jednak jeszcze inna droga. Polega ona na opisie nie konkretnych dokumentów, ale ludzkiego doświadczenia, jakie się z nim wiąże.

Niech wolno mi będzie zacząć od wyznania, które zresztą rezonuje z komentarem Petera Kwasniewskiego (P. Kwasniewski, *Kryzys i odrodzenie. Tradycyjna liturgia łacińska a odnowa Kościoła*, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, 2016). Sięgam pamięcią wstecz, ku swemu dzieciństwu i ku nabożeństwom niedzielnym w jednym z kościołów parafialnych w Gdyni. Pamiętam przede wszystkim, że udział w niedzielnej Mszy był dla mnie przez całe lata obowiązkiem nadzwyczaj przykrym. Odczuwałam w kościele niewymowne wręcz znużenie, Msza była dla mnie samą kwintesencją nudy. Była głównie potokiem słów, często sprawiających wrażenie rażąco źle dobranych, które należało wypowiedzieć, przez które należało przebrnąć, myśląc usilnie: „szybciej, szybciej, miejmy to już za sobą”. Było to również miejsce, w którym nigdy nie było półmroku i cienia. Miejsce nieładnej, jakby wyjącej muzyki i zawodzenia pań. Miejsce obcości z jednej i emocjonalności

z drugiej strony, gdzie wierni obserwowali siebie z ukosa, najwidoczniej nie całkiem zajęci tym doniosłym przecież wydarzeniem, jakie ich zgromadziło. Pamiętam to wyraźnie, gdyż dla mojej neurotycznej natury ta horyzontalność relacji była po prostu nie do wytrzymania. Msza była mi takim mozołem, że aż po wczesną dorosłość wszystkie przykre i nudne obowiązki, jakie musiałam spełnić, odmierzałam... Mszą świętą. Na przykład dwugodzinny dyżur w harcerskiej garkuchni to były dwie Msze, a nudna półgodzinna herbata u nielubianej krewnej to było pół Mszy. „Msza” to był miernik nudy, banału i obcości, jak miernikami są – dajmy na to – „metr” czy „litr”. Jeśli wówczas i nigdy po dziś dzień nie straciłam wiary, to dlatego, że – jak w swych wyznaniach ujmuje to François Mauriac – po prostu nie było mi dane jej utracić.

Msze w Liceum Urszulańskim przy pl. Nankiera we Wrocławiu były jedynymi, w których odsłaniał się przede mną daleki sens celebracji. Sądzę, że wpływ miało na to kilka czynników. Nasze liceum mieściło się w budynkach klasztoru, a zatem zwykle tylko drzwi tu i ówdzie dzieliły nas od klauzury sióstr. Nad wszystkim unosił się duch monastycyzmu.

Sam nasz kościół mieścił się na parterze, w najstarszej, gotyckiej części budynku, niegdyś kaplicy św. Jadwigi, i jedynie krata dzieliła go od Mauzoleum Piastów Śląskich. Mauzoleum to była bliźniacza, również gotycka część naszego kościoła, z kilkoma tumbami, na których spoczywały płyty nagrobne z figurami zmarłych

Piastów, z kamiennymi płytami książęcymi w posadzce i gdzie jakby władztwo wciąż sprawowali owi dawno zmarli książęta i opatki klasztoru. Opuszczony ołtarz zawsze tonął w mroku i gęstej ciszy. Na Msze ogólnoszkolne kratę otwierano tak, że część uczennic siedziała w kościele, część zaś właśnie w mauzoleum. Zawsze wówczas starałam się spóźnić, żeby tylko móc siedzieć tam – w mroku, ciszy i w towarzystwie zmarłych. Niezliczoną ilość razy uciekałam też do mauzoleum od trudów dnia, od przykrości, od ludzi, od spraw. Było moim miejscem ucieczki – moim małym średniowieczem.

Pamiętam, że przez lata starannie unikałam krytyki *Novus Ordo*. Osądzanie Mszy świętej wydawało mi się buńczuczną śmiałością. W literaturze jednak natrafiałam czasami na uwagi o niedoskonałościach nowego rytu i powoli zaczęłam rozumieć, że sąd ten ma liczniejszą i godną reprezentację. Zaczęłam śmielej formułować i wyrażać swój pogląd. A twierdziłam, że Msza jest kiczowata w mierze, której po prostu nie da się zaprzeczyć. Rozumiałam kicz jako „sztukę szczęścia”, a więc taką, która wyraża dość banalne treści celem zapewnienia twórcom i uczestnikom pewnego rodzaju subiektywnego, emocjonalnego zaspokojenia.

Po namyśle uznałam, że ów kicz to poniekąd problem deficytu piękna – w tej mierze rozwiązywalny. Piękna wszak można poszukiwać i można o nie zabiegać w ramach *Novus Ordo*. Ewa i Marcin Kiediwie z „Więzi” skierowali moją uwagę w tę stronę i to za ich sprawą za-

częłam uczęszczać na Msze do Wspólnot Jerozolimskich. Na pewien czas znalazłam w tym pociechę. Msze te były jednak wciąż projektem – ładnym, lecz tylko projektem. Nie odnajdywałam w nich ducha „mojego” mauzoleum. Postanowiłam zatem przestać szukać i po prostu skierowałam się do namiotu pewnych misjonarzy blisko mojego domu, gdzie Mszę świętą odprawia kilku księży z Afryki, Ameryki Południowej i Włoch. Jest to mszalna terapia homeopatyczna. Oto bowiem jest ona utrzymana w duchu tak arcyposoborowym, że niemożliwe jest pomyślenie większej otwartości, radości, szczerości, aplauzu, entuzjazmu, kolektywności itd. Wszystkie znane zarzuty pod adresem *Novus Ordo* osiągają w tej celebracji swoje *akme*. Jest to granica, poza którą objaw nie może już się nasilać – musi albo ustąpić, albo wywołać zgon organizmu. I ja te Msze polubiłam tak, jak lubi się truskawki z bitą śmietaną. Po prostu wystarczy w każdą niedzielę pomyśleć: dziś obiadu nie będzie. Będzie deser. I problem się rozwiązuje.

Zaakceptowawszy to, chciałam jednak, jak wszyscy ludzie konający z głodu, najjeść się choć raz przed śmiercią. Dlatego też pewnego dnia, odłożywszy na bok dumę, lęk, nieufność i niepewność skutku, zwróciłam się do „Christianitas” z prośbą o pokierowanie mnie ku staremu rytowi oraz w ogóle jakimkolwiek zakonowi, ku jakiejś regule, ku powadze.

A przecież jako czterdziestoletnia kobieta, od dzieciństwa biorąca udział w praktykach religijnych, pobierająca nauki w katolickich szkołach, doktory-

zująca się w zakresie filozofii katolickiej, po prostu powinnam znać ryt nadzwyczajny w drobnym szczególe. Jak to zatem możliwe, że przez tyle lat się uchowałam? Nigdy się przecież nie wzbraniałam przed wiedzą o własnym Kościele, ale jej pożałowałam i poszukiwałam, nieraz z rozpaczliwym uporem. Tymczasem jest tak, jakby już nie było żywych mogących wprowadzić we wspólnotę ze zmarłymi. Ilu podobnych biedaków chodzi w głodzie po świecie i nigdy nie zostaną wprowadzeni przez kogoś innego w stare misterium Chleba-Ciała? Przecież aby go pragnąć, trzeba wiedzieć, że ono jest. W przeciwnym razie jesteśmy zdolni powiedzieć „czuję głód”, ale już niekoniecznie „chcę chleba”. Szczerze mi ich żal, myślę ze współczuciem o ich, i własnej, drodze w samotności.

Trzeba też wiedzieć, że ryt stary nie współlistnieje z nowym, ale jest zepchnięty do enklaw. Zwolennicy *Novus Ordo* mogą planować dzień niemal dowolnie, mając wiele Mszy świętych do wyboru. Uczestnictwo w Mszy trydenckiej takich możliwości wiernym właściwie nie daje: cały dzień należy dostosować do wskazanej godziny i liczyć na to, że z kolei krewni i znajomi, a nawet pracodawcy, przystosują się do naszego planu dnia. We własnej i najbliższej miejscowości mam do wyboru siedem Mszy świętych w różnych godzinach, dojazd na każdą zajmuje 5–10 minut. Na Mszę trydencką muszę się dostać spod Warszawy do centrum, na określoną godzinę. Miejsce pierwszej wybrałam starym: jechałam 40 km w jedną stronę.

Bogu dzięki, że w docelowej miejscowości była dobra kawiarnia i kameralny koncert fortepianowy na miejskim placyku, udał nam się dzień.

I tu słowo o moim dziesięcioletnim synu. Jest to dziecko nadzwyczaj żywe i niepokorne, jakby wyzwanie rzuczone spadkobiercom myśli wychowawczej ks. Bosko, skądinąd mające już za sobą ważny etap edukacji salezjańskiej. Wiele się natrudziłam, żeby mu wyjaśnić istotę Mszy trydenckiej, nim się na nią udaliśmy. Słuchał z zainteresowaniem. W samym kościele upatrzyłam od razu drogę ewakuacyjną i powiedziałam mu: „Tędy wyjdiesz z tatusem, gdyby cię roznosiło, synku”. A synka wcale nie roznosiło. Dostał od nieznajomej sąsiadki mszałik do rączki, palcami przebiegaliśmy łąciński tekst i taki się cały zrobił cichutki.

Nic nie wyrazi tego poczucia ograbienia, jakie miałam, wychodząc z kościoła – ograbienia nie tylko mnie samej, ale i moich dzieci. Jak nauczyć ciszy w hałasie? Jak nauczyć rozróżniać znaczenia, gdy słów pada zbyt wiele? Jak wychować katolików, uczęszczając na niemal protestancką liturgię (przez kilka miesięcy pracowałam we wspólnocie metodystów w USA, znam zatem dobrze tę protestancką *ambience*)? Oto są moje pytania. Do kogo je skierować? A właściwie: komu uczynić wyrzut?

Dopiero zarysowawszy – nie bez wahanania – ów kontekst autobiograficzny, mogę podjąć kwestię *Summorum Pontificum*. Dokument ten jest upomnieniem się o „dobro dusz”, zgodnie z jasno wyłożonym i słusznym twierdzeniem Mszału

Rzymskiego „norma modlitwy Kościoła odpowiada normie jego wiary”. Słowa te można odczytywać jako proste stwierdzenie korelacji: jakość modlitwy i jakość wiary zmieniają się w tym samym czasie. Może też jednak wskazywać wynikanie, i to dwukierunkowe: jakość modlitwy zależy od jakości wiary, ale też jakość wiary – od jakości modlitwy. W tym kontekście upomnienie się o modlitwę jest nie tylko upomnieniem się o właściwą część składaną Bogu, ale o samą prymarną zdolność wiary, a zatem nie tylko o właściwe wyrażanie, ale i odpowiadające mu właściwe ludzkie poczucie. Wydaje się bowiem, że *homo religiosus* jest dziś zagrożony wyginięciem: jego natura ocalana i uwznioślona przez stary ryt pod władzą nowego popada w otępienie i traci czujność.

Rację też wydaje się mieć Kwasniewski, zauważający, że w sposób całkowicie naturalny rozluźniony ryt prowadzi do pelagianizmu i arianizmu. Są to zrozumiałe i przewidywalne odpowiedzi natury niepodtrzymywanej dłużej w intensywnie chrystocentrycznym wysiłku i koncentracji. Należy zatem zwrócić uwagę na określenie „norma”, które samo w sobie jest wyzwaniem dla owej performatywności czy wręcz kultury performance’u, charakterystycznej dla *Novus Ordo*: tam, gdzie jest norma, tam też jest możliwość jej przekroczenia. Tam, gdzie jest norma, jest wykład przyczyn, przebiegu i skutku. Tam, gdzie jest wykład, jest i wiedza. Tam, gdzie jest wiedza, możliwa jest wiara pewna i niewzruszona, niezależna od porywów i mód.

*Summorum...* jest zaproszeniem do stania się „człowiekiem klasycznym” wedle określenia Dietricha von Hildebranda, a zatem głęboko zaznajomionym z własnym pochodzeniem i dorobkiem, włączonym w strumień pokoleń, podejmującym odpowiedzialność za otrzymane dziedzictwo, człowiekiem biegle rozeznającym kruszce szlachtetne i nieszlachtetne (dźwięki, zapachy, obrazy, kolory), człowiekiem łaciny i w końcu człowiekiem benedyktyńskiej reguły, a to znaczy również niez mordowanym obrońcą europejskiego (łacińskiego i rzymskiego) ducha.

*Summorum...* jest próbą uwolnienia ludzi od głodu, jaki powyżej opisałam, a zatem próbą sprawienia, by Kościół, skoro jest matką, był i karmicielką. Jest próbą ocalenia pamięci przeszłości przez włączenie przyszłości w jej obieg. Stanie się to, gdy powszechniejsza Msza trydencka będzie dostępna dzieciom, na nowo przepelniając je grozą, wzniosłością i zdolnością odczuwania bojaźni Bożej. Gdy bowiem nie ma pragnienia poddania się właściwego *tremendum*, nie potrzeba już ukojenia w *fascinans*.

Nie umiem ocenić, jak na *Summorum...* reagują konkretne środowiska i w jakim stopniu są jego beneficjentami. Skłonna jestem sądzić, że jest to rzecz przełomowa dla ludzi łaknących Mszy trydenckiej, ale też już o nią dbających, już z niej korzystających. A zatem dla tych już będących w jej splotach. Dokument ten z pewnością ułatwia zwabianie w ową modlitewną sieć innych, co jest dziś chyba pierwszym obowiązkiem i powinnością obrońców

tradycji. Bez ich wysiłku jednak, sędzę, *Summorum...* jest i będzie bezradne. Jak każdy dokument może po prostu zostać pominięte. Oczywiście wszyscy wierni zyskują instrukcję, na którą mogą się powoływać, prosząc o dostęp do tego rodzaju liturgii. Niemniej aby o nią prosić, muszą o niej wiedzieć.

Sędzę ostatecznie, że sam ten dokument jest środowiskiem, małym habitatem starożytnego rytuału. Oby był jego płodną i ochraniającą macicą, która w trudzie nachodzących ją skurczów zacznie rodzić nowych spadkobierców i odnowi poczucie katolickiej dumy, przynależności i czci. ■

### **Teresa Milcarek**

Na Mszę świętą trydencką chodzę od dziecka, jest mi ona dobrze znana i bliska. Forma nadzwyczajna stała się dla mnie „zwyčajną” i rzadko zastanawiałam się nad powodami, dla których skłaniam się właśnie ku niej.

Już jako mała dziewczynka lubiałam być traktowana poważnie i trwa to we mnie do dzisiaj. Nie potrafię modlić się w chaosie i zamieszaniu, a nienaruszalna konstrukcja Mszy trydenckiej nie pozwala na dowolne jej przekształcanie i uatrakcyjnianie, umożliwiając tym samym skupienie się na tym, co najważniejsze.

Odnajduję Boga w harmonii i spokoju liturgii, która trwa od wielu wieków. Uczestnicząc w tej Mszy, czuje się trwałość Kościoła powszechnego. Od wielu lat moja rodzina związana jest z Opactwem Matki Bożej w Fontgombault. Piszę te słowa wła-

śnie stamtąd, uczestnicząc w tych samych nabożeństwach razem z Amerykanami, Niemcami, Chińczykami, Brytyjczykami i Francuzami. Wszyscy znamy tę samą Mszę i te same psalmy. Modlimy się językiem Kościoła i czujemy jego jedność. W Mszy trydenckiej mogę uczestniczyć zarówno w Warszawie, jak i w Rzymie. Nie muszę zastanawiać się nad znaczeniem Pisma Świętego czytanego po hiszpańsku czy niemiecku. Wystarczy mi mój mszał.

W liturgii trydenckiej ważna jest dla mnie równowaga. Jest cisza i jest śpiew. Jest modlitwa osobista i jest wspólna. Jest czas i na postawę stojącą, i na to, aby klęczeć. Prywatność i poczucie wspólnoty.

Nie sposób pominąć widocznego piękna Mszy. Kościoła przesiąkniętego zapachem kadzidła i poruszających śpiewów, specyficznej atmosfery bliskości Boga. Aby prawdziwie się pomodlić, trzeba wyrwać się z codziennych spraw. Łatwiej jest mi oddzielić się od nauki, sprzątanina, wybieżki do muzeum czy pieczenia ciasta, kiedy liturgia jest ceremonią. Adorujemy Króla królów i Pana panów i powinno być to widoczne.

Liturgia w rycie trydenckim przypomina, że jesteśmy ludźmi i bez Boga nic nie możemy. Dużo się klęczy i to jest ważne, bo mówi, kto jest Stwórcą i do kogo zwracamy się po ratunek. Ludzie pochylają głowy i ukrywają twarze w dłoniach w kompletnej ciszy. Jest na to czas, refleksji nie da się odnaleźć w chwili.

Wielu moich znajomych z czasów dziecięcych wspomina zdumienie w kościele porównywalne do ciągnących się w nie-